

Gdzie Kair, gdzie Ateny a gdzie Madison?

26 marca 2011



Pierwsze miesiące 2011 r. przebiegają pod znakiem rewolucji i upadających reżimów. Przez świat arabski przetacza się fala społecznej kontestacji, której nie są w stanie zatrzymać granice państw. W wydarzeniach tych można z łatwością odczytać „arabską specyfikę”. Mowa wszak o rewoltach w krajach ominiętych przez procesy demokratyzacji, które w latach 90. minionego stulecia ogarnęły Amerykę Łacińską, Europę Wschodnią i Afrykę. Tamtejsze dyktatury nie byłyby tak trwałe, gdyby nie zapewniały USA, Europie i Izraelowi dostępu do bliskowschodnich złóż ropy i gazu oraz nie stały na straży interesów geopolitycznych Zachodu, który rewanżował się im wsparciem.

Ogromne znaczenie arabskiej Zimy Ludów nabiera jednak bardziej uniwersalnego wymiaru, gdy spojrzymy na nią w szerszym kontekście. Wprawdzie przedłużające się walki w Libii, gwałtowne wzrosty cen ropy naftowej na światowych rynkach i groźba amerykańskiej interwencji zbrojnej w tym kraju zdominowały media w ostatnich tygodniach, ale od czasu do czasu towarzyszą im doniesienia o podnoszącej się fali protestów społecznych w Europie i USA. 23 lutego, w Grecji

odbył się pierwszy w tym roku strajk generalny, a w amerykańskim Wisconsin od kilku tygodni trwają potężne protesty pracownicze. Oczywiście większość obserwatorów nie widzi powodu aby łączyć protesty na Zachodzie z arabskimi rewolucjami. Bo i gdzie Kair, a gdzie Ateny i Madison (stolica Wisconsin)? Co mają wspólnego obalanie krwawych dyktatorów i pracownicze strajki? Czołgi na kairskim placu Tahrir to przecież nie to samo co policja wokół Kapitolu w Madison. Amerykańskie siły porządkowe to nie armia Mubarak czy Kaddafiego – od rozruchów w Los Angeles w 1992 r. raczej nie strzelają do swoich obywateli, a w każdym razie nie na taką skalę. Wszystko to prawda i nie zmienia tego fakt, że jeśli chodzi o obywateli innych państw armia amerykańska wciąż nie żałuje amunicji.

Rzecz jednak nie w zewnętrznych atrybutach władzy, przeciw której podnoszą się protesty. Wiedzieli o tym doskonale egipscy demonstranci, gdy zamówili pizzę dla związkowców z Madison.

Nie po raz pierwszy pogardzana „ulica arabska” i jej amerykańska odpowiedniczka wykazują się świadomością wyższą niż armia ekspertów zatrudnianych przez media, think tanki i rządy. I nie chodzi tylko o to, że jak zauważył Mark LeVine amerykańscy bogacze osiągnęli „stan, którego Ben Ali, Mubarak i podobni kleptokraci mogli im pozazdrościć – najbiedniejsze 20% społeczeństw Tunezji czy Egiptu dzieli względnie większą część dochodu narodowego niż ich amerykańscy odpowiednicy.” W rzeczywistości najważniejsze jest to, że rewolucje arabskie i walki społeczne w Ameryce mają jedno podłoże: globalny kryzys ekonomiczny.

Elity polityczne i ekonomiczne na Północy i Południu łączy dziś determinacja aby koszty przedłużającego się załamania przerzucić na najbiedniejszych. W ramach zaciskania pasa tylko w 2009 r. w USA i UE obcięto pracownikom płace na ogólną sumę ponad 580 mld dolarów (uczyniono to m.in. po to by nie obcinać dywidend). W chwili gdy społeczeństwom Europy zagroziło widmo

terapii szokowej w imię zmniejszania deficytów i długów publicznych ucieczka kapitałów na rynek produktów rolnych i surowców przyczyniła się do nowej (po tej z 2008 r.) fali wzrostu cen żywności. To właśnie protesty przeciw drożyznie wyprowadziły na ulice Tunisu i Kairu miliony ludzi. Egipt, który jeszcze w latach 70. eksportował żywność netto, obecnie, po zniesieniu dotacji, odwołaniu reformy rolnej i otwarciu rynku dla dotowanej żywności z Europy stał się importerem skazanym na ceny narzucane przez globalne koncerny agrobiznesowe. Ta sama neoliberalna polityka, która wepchnęła w głód miliony Egipcjan przyczyniła się do wzrostu długu publicznego do bardzo europejskiego poziomu 80% PKB, oraz do wzrostu długu zagranicznego z 22 mld w 1981 r. do poziomu 33 mld dol., mimo, że w tym czasie Egipt spłacił ok. 68,5 mld odsetek. Wprawdzie 40% Egipcjan żyje dziś w nędzy, ale za tę cenę wierzyciele Kairu muszą być zadowoleni.

Takie samo zadowolenie prywatnych wierzycieli jest stawką pomysłów zmniejszania deficytów budżetów w Atenach czy Madison.

Pomysł gubernatora Wisconsin, aby obniżyć płace w sektorze publicznym od 8 do 20%, związkom zawodowym odebrać prawo do negocjowania układów zbiorowych, a nauczycielom zakazać strajków znajduje wyjaśnienie w jednoczesnych ulgach podatkowych dla korporacji na sumę 117 mln dol. Przypomina także program elit UE chcących wykorzystać kryzys długu do likwidacji resztek zdobytych socjalnych, które jeszcze odróżniają Europę od globalnego Południa.

Pracownicy zrozumieli, że Wisconsin ma być taką amerykańską Grecją. Jeżeli tam uda się zniszczyć związki zawodowe inne stany pójdą tą samą drogą. Nic dziwnego, że już pierwsza demonstracja, na którą w połowie lutego przyszło 10 tys. ludzi uruchomiła reakcję łańcuchową. W dwa tygodnie później na ulice Madison wyszło niemal 100 tys. ludzi, a w innych stanach wsparło ich 50 tys. demonstrantów.

Noam Chomsky uznał protesty w Wisconsin za „powrót demokracji do Ameryki i początek pro-demokratycznego powstania”. Nawet jeśli przesadza, USA przeżywają największe protesty pracownicze od zdławienia strajku kontrolerów lotniczych w 1981 r. Trudno zaprzeczyć, że wiarę w skuteczność wychodzenia na ulicę wielu pracowników i studentów czerpie z Egiptu. Wprawdzie nie ma prostych analogii między arabską rewolucją a manifestacjami w USA czy Grecji, ale nie sposób nie zauważyć, że globalny kryzys coraz częściej znajduje odpowiedź w postaci ludowej solidarności ponad granicami.

Autor: Przemysław Wielgosz

Zdjęcie: [Phil Roeder](#)

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)